

# Tazbir, Janusz

---

## Z życia nauki i z życia Towarzystwa : Wiedza o przeszłości jako przedmiot manipulacji

---

Rocznik Towarzystwa Naukowego Warszawskiego 69, 14-26

---

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## WIEDZA O PRZESZŁOŚCI JAKO PRZEDMIOT MANIPULACJI

Rozwojowi dziejopisarstwa niemal od samych jego początków towarzyszyła manipulacja; najpierw kronikarstwem, a później historiografią. Bez większych skrupułów pozbywano się też autorów, którzy podawali inną wersję aniżeli ta, która była wygodna panującej dynastii, warstwie rządzącej czy, jak w XX stuleciu, partii. Przykładami można by wypełnić kilkudniową konferencję. Dlatego też ograniczę się do paru, zaczerpniętych z różnych kontynentów i z rozmaitych epok.

Już w 213 r. p. n. e. cesarz chiński Shi–Huang–Ti polecił spalić wszystkie księgi o historii, jakie dotychczas napisano i zabić ich autorów. Sądził, że w ten sposób stworzy nową wizję, która ułatwi mu władanie krajem. Uzasadnienie, jakie z tamtych czasów przetrwało głosiło: „Teraz Cesarz dokonał wielkiego dzieła i dał podwaliny sławie, która trwać będzie przez dziesięć tysięcy pokoleń. Tymczasem zaś uczeni nie chcą przyjmować tego do wiadomości, ale w ten sposób wypowiadają się o czasach przeszłych, że sięją wątpliwość i zamęt wśród ludu. Ludzie ci wychwalają to co było dawniej, nie dostrzegając tego co zrobiła Wasza Wysokość”. Nie jest rzeczą przypadku, że do tego właśnie cesarza świadomie nawiązywał Mao Tse–tung w okresie rewolucji kulturalnej.

Z kolei w Czarnej Afryce zapamiętywaniem tradycji dynastycznej i jej przekazywaniem zajmowali się specjalnie do tego wyznaczeni funkcjonariusze, najczęściej w starszym wieku. Kiedy jednak do władzy dochodziła nowa dynastia lub niektórych jej poprzedników uznawano za uzurpatorów, zabijano dotychczasowych „specjalistów od zapamiętywania” i powoływano na ich miejsce nowe osoby, które musiały się uczyć „poprawionych dziejów” (czyż nie przypomina nam to wizji Orwella z *Roku 1984?*). Niedawno, w telewizji rosyjskiej odbyła się rozmowa ze starszym panem, który za czasów stalinowskich otrzymał aż 25 lat łagru za to tylko, iż podczas rewizji znaleziono u niego jeden z tomów dziejów Ukrainy, pióra M. Hruszewskiego (1866–1934), któ-

ry został w r. 1934 oskarżony o „burżuazyjny nacjonalizm”. Podobne represje spadały na historyków opisujących z aprobatą antycarskie powstanie, jakie w latach 1834–1859 trwało na Kaukazie pod wodzą Gimraha Szamila. Początkowo był on sławiony przez radziecką historiografię jako jeden z narodowych bohaterów; kiedy jednak wziął w niej górę nurt zdecydowanie nacjonalistyczny, Szamila uznano za angielskiego szpiega, działającego na szkodę przyszłej rewolucji, ponieważ pragnął odłączyć Kaukaz od Rosji.

W Polsce sanacyjnej za podobne „przewinienia” tracono tylko katedry; Wacław Sobieski został w r. 1935 przeniesiony na przedwczesną emeryturę za wydanie (po francusku) historii Polski, w której główną zasługę zwycięstwa nad bolszewikami (1920) przypisał Maxime Weygandowi i Tadeuszowi Rozwadowskiemu, a nie Józefowi Piłsudskiemu. Sobieski tak się tym przejął, iż w dwa dni po zwolnieniu z Uniwersytetu Jagiellońskiego dostał wylewu krwi do mózgu, który okazał się być śmiertelnym. W ZSRR podobne represje miały masowy charakter. Władze od początku patrzyły niechętnie na działalność ludowych lirników, opiewających zgoła inną historię Ukrainy, aniżeli tę podawaną w podręcznikach. Musiano się więc dziwić zwołaniu ich zjazdu w r. 1936, na którym wielu z lirników otrzymało wysokie odznaczenia i nagrody. Po tym jednak słuch o nich zaginął; dopiero w ostatnich latach wyszło na jaw, iż wszyscy zostali rozstrzelani po zakończeniu zjazdu (według innej wersji zawieziono ich do kamieniołomów i strącono ze skał).

Wróćmy wszakże do manipulacji historią na gruncie polskim; ma ona miejsce co najmniej od XVI stulecia, kiedy to zaczęto cofać początki polskiego parlamentaryzmu do czasów średniowiecza. Jeden z dziejopisów, Andrzej Lubieniecki młodszy (1551–1623) utrzymywał, że już od schyłku XIV stulecia, każdy szanujący się monarcha przed powzięciem decyzji zasięgał rady sejmu (bo tak kronikarz określał radę królewską) i zwoływał panów braci na sejmiki. W początkach XVII stulecia konfiskacie uległo pierwszych sześć ksiąg kroniki Jana Długosza (sięgających do r. 1240). Miało do tego skłonić Zygmunta III Wazę jego najbliższe otoczenie, niechętnie przypominaniu, iż ich przodkowie stosunkowo niedawno weszli w szeregi magnaterii. Konfiskatę skwitował Jarosz Hińcza sarkastycznym wierszykiem, w którym m.in. czytamy:

Długoszu, długo cię to nie wiem czemu kryją,  
Ukazałeś się trochę, ali na cię biją?  
Podobnoś to nie lizał uszu ludzkich czyli  
Wstydzą się przodków, bo snadź od nich odstąpili.

Tak czy inaczej pełne łacińskie wydanie Długosza ukazało się dopiero w połowie XVIII stulecia. Na szeroką skalę, w pełni świadomie i z poparciem instytucji państwowych (mam tu na myśli programy i podręczniki Komisji Edukacji Narodowej) prowadził manipulację historią wiek oświecenia. Starając się dowieść, że już w poprzednich stuleciach realizowano jego ideały, równocześnie w karykaturalny i pełen dezaprobaty sposób przedstawiał nurty mu przeciwne. Na pierwszy ogień poszedł oczywiście sarmatyzm, piętnowany zarówno ze sceny (vide sztuka Bohomolca pod tymże tytułem), jak i w satyrze, która ukuła nawet powiedzenie o „bałwanach sarmatyzmu”, często powtarzane na łamach „Monitora”. W dramacie Józefa Wybickiego *Zygmunt August* (1783) potępiano w niedwuznaczny sposób anarchię magnacką, przeciwstawiając jej zabiegi Stanisława Augusta Poniatowskiego o wzmocnienie władzy monarszej. W chwili rozpoczęcia obrad Sejmu Czteroletniego ukazały się zaś powieści Franciszka Salezego Jezierskiego *Rzepicha, matka królów* oraz *Gaworek*, propagujące idee, które kierowały liderami polskiego parlamentaryzmu. Czytelnicy znajdowali w nich pochwałę silnego państwa, potępienie samowoli magnackiej, apele o polepszenie doli chłopskiej. Naiwna i wątła fabuła stanowiła tu tylko dodatek, mający na celu uatrakcyjnienie wątku politycznego.

Malowano przeszłość czarną farbą, aby udowodnić, że jedynie radykalne reformy ustrojowe będą w stanie odrobić skutki anarchii, marazmu duchowego i lenistwa poprzednich pokoleń. Po utracie zaś niepodległości w jednostronnym, bo przeczernionym obrazie XVIII wieku znajdowano odpowiedź na pytanie dlaczego, mimo wszystkich wysiłków działaczy Oświecenia oraz wojny z r. 1792 i powstania T. Kościuszki, doszło jednak do wymazania Rzeczypospolitej z politycznej mapy kontynentu: zacofanie Polski było zbyt wielkie, a rządy magnaterii, sterującej przy jezuickiej pomocy ciemną szlachtą, trwały zbyt długo, by jedno pokolenie reformatorów było w stanie odrobić skutki czasów saskich oraz paropokoleniowych rządów kontrreformacji.

Scharakteryzowana powyżej manipulacja stanowiła jednak zaledwie wstęp do tej, która miała towarzyszyć niemal całemu okresowi



zaborów (1795–1918). Stosowały ją z jednej strony rządy rosyjskie, pruskie i austriackie: piórami oddanych sobie historyków starały się udowodnić, iż Polska straciła niepodległość jedynie z własnej winy. Panująca w niej anarchia, ucisk chłopa, powszechna ciemnota, której miał towarzyszyć fanatyzm religijny, wyzywający się w prześladowaniu ludności prawosławnej i protestanckiej, wszystko to czyniło Rzeczpospolitą niezdolną do samodzielnego bytu. Ponieważ cel uświęca środki, posuwano się przy tym do fabrykowania fałszyfikatów, mówiących o rzekomych procesach czarownic, jakie miały miejsce jeszcze u schyłku XVIII stulecia, czy rozpuście panującej w żeńskich klasztorach (*Szyfowe prace*).

Nic więc dziwnego, iż tworzona w tych warunkach przez polskich historyków wizja narodowej przeszłości, dopiero na ostatnim planie stawiała odtworzenie jej prawdziwego obrazu. W dalekiej nawet przeszłości poszukiwano wytłumaczenia naszych zapóźnień cywilizacyjnych. Nawiązując do teorii przedmurza Józef Ignacy Kraszewski pisał: „Nie traćmy z oczu, żeśmy przez długie wieki byli Europy żołnierzami [...] a jak od wojownika się nie żąda, czego bój nie daje, tak i od narodu stojącego na kresach z orężem w dłoni nie chcemy, by śpiewał i igraszkami swobodnych się zajmował”. Za Legnicę, odsiecz Wiednia, walki z Moskwą, słowem za odpieranie najazdów barbarzyńców z szeroko pojmowanego Wschodu, wystawiano Zachodowi rachunek, na którego czele było żądanie, aby dopomógł nam w odzyskaniu niepodległości. Szczególnie często przypomiano Francji, że gdyby nie rok 1794 i 1830 (powstanie listopadowe), to wojska moskiewskie, gotowe już do zbrojnej interwencji, pomaszerowałyby na Paryż i zdusiły Wielką Rewolucję w r. 1789, a potem rewolucję lipcową.

W tych warunkach rodziła się dość powszechna aprobata dla istnienia narodowej cenzury, której niedawno poświęciłem obszerną rozprawę (por. J. Tazbir, *Polacy na Kremlu i inne historyje*, Warszawa 2005, s. 245 i nast.). Tam też podaję jej liczne przykłady, tu ograniczę się do przytoczenia kilku, jednakże wymownych cytatów.

Julian Klaczko będzie wspominał, iż daremnie tłumaczył trzeciemu z wieszczów, że narodowi należy mówić „szczerą prawdę, która niech boli jak chce, ale zawsze jest najskuteczniejszym lekarstwem na wielkie wady i ułomności”. Kasiński tłumaczył mu wszakże, że podobnie jak kobiecie zepsutej i lekkomyślnej, ale jeszcze całkowicie nie zdemoralizowanej, nie należy tylko wyliczać grzechów, lecz trzeba przypominać, iż w niej jest świętość jedynie chwilowo zbrukana,

„że jest aniołem, tylko z zabłoconymi skrzydły”, tak i Polakom winno się to stale powtarzać.

Krasiński, stwierdza Fiećko (*Rosja Krasińskiego. Rzecz w nieprzejednaniu*, Poznań 2005) „ponad narodowe rekolekcje przedłożył mesjanistyczną terapię”. Skoro „na niwie literackiej” w świadomy sposób uprawiał „szlachetne kłamstwo”, to tym samym, dodajmy, stawał się ideowym partnerem i teoretykiem narodowej cenzury. Dlatego też, dopiero po jego śmierci, czytelnicy mogli się dowiedzieć, iż w nieopublikowanym współcześnie liście do ojca, pisanym w r. 1836, poeta zakwestionował cały dorobek naszej kultury i nauki. „W naukach, w kunsztach, w sztukach – cóżeśmy stworzyli? Jestże poezja, architektura lub malarstwo, lub muzyka polska? Czyśmy mieli kiedy co polskiego na świecie prócz rubaszości?” Podobną krytykę, dotyczącą jednak kultury rosyjskiej, przeprowadził w tym samym czasie Piotr J. Czaadajew. Popęłił wszakże nieostrożność, publikując ją w czasopiśmie „Teleskop” i ściągnął na siebie surowe represje.

W pierwszych latach porozbiorowego szoku zwątpiono w możliwość odzyskania niepodległości, stawiając znak równości pomiędzy utratą własnego państwa i zagładą języka narodowego. Przez cały natomiast wiek XIX zarówno nasza nauka, jak i literatura piękna, nie godziły się na czarny scenariusz przyszłości Polski. Wręcz przeciwnie, przy każdej okazji dawano wyraz nadziei, iż Rzeczpospolita w tym, czy innym kształcie powróci na polityczną mapę Europy.

Niektórzy historycy i politycy wypowiadali się przeciwko powstaniom narodowym, akceptując kompromis z zaborcą za cenę autonomii (choćby tylko kulturalnej), nikt nie odważył się jednak wystąpić z pochwałą samych rozbiorów. Panegiryczna monografia, jaką Kazimierz Waliszewski poświęcił Katarzynie II, była czymś zdecydowanie odosobnionym. Karol Szajnocha pisał kiedyś do Józefa Szujskiego, iż chciałby zająć się rolą Polski jako przedmurza. Na ten temat można stworzyć utwór poetycki, który zachwyci i zagrzeje cały naród. Historyk musiałby wszakże napisać dzieło „zimne”, ubliżające narodowej zasłudze, burzące najpiękniejsze legendy, albowiem Rzeczpospolita pełniła wprawdzie rolę *antemurale*, ale czyniła to niedokładnie i fragmentarycznie. Poecie wolno to wszystko pominąć, historyk musiałby wskazać plamy na owym słońcu. Przeto Szajnocha nie napisze książki o polskim przedmurzu.

Dyktat narodowej cenzury sprawił, iż w literaturze pięknej starano się nie dostrzegać obecności Rosjan. Celowała w tym powieść dru-

giej połowy XIX stulecia; w większości utworów tylko waluta – ruble i kopiejki – wskazuje na to, iż akcja nie rozgrywa się w niepodległej Polsce. W żadnym chyba z wybitniejszych dzieł poświęconych Warszawie nie spotykamy najmniejszej nawet wzmianki o pomniku Aleksandra I, a tym bardziej Paskiewicza, czy o obelisku ku czci polskich generałów, zabitych w Noc Listopadową, za odmowę przyłączenia się do powstania. Pan Rzecki, chodząc po Krakowskim Przedmieściu, dostrzega tylko dwa posągi na obu krańcach ulicy – pomnik Kopernika i kolumnę Zygmunta. Z obowiązku jedynie wspomina obelisk w przewodnikach po stolicy Królestwa Polskiego, za każdym razem unikając starannie jakiegokolwiek wartościowania. *Hetmańskie swaty* pióra Kajetana Kraszewskiego, w których starał się „zrehabilitować” postać Ksawerego Branickiego, wywołały znaczący komentarz jego brata Józefa Ignacego:

„Ta powolność dla takiego łotra – strofował Kajetana – bo nim był, ściągnie na Ciebie nieochybnie krytykę. Według mnie jest to charakterystyka niepełna, ale nie fałszywa. Ogół go zna inaczej i inaczej sądzi. Zaś gdy naród cały w swych tradycjach uświęca postać lub potępia, ja skłaniam głowę. Nigdy nie dopuszczę, aby św. Stanisława nazywano zdrajcą, gdy vox populi wyniosło do dostojności reprezentanta idei wielkiej – i nigdy nie będę rehabilitował, co potępił ogół [...] Co on stworzył na pożytek duchowy, to trzeba poszanować. Choćby historia przeczyła i miała racje, od historii prawdziwszą jest bajka, która wieki z ducha swojego stworzyły. Zostawmy świętych na ich podnóżkach, a łotrów na szubienicach. Roma locuta est – rzekł naród i wyrok nieodwołalny”.

Do szczytów dochodziła manipulacja historyczna w ustrojach totalitarnych lub od nich pochodnych. Pierwszeństwo wypadnie tu oczywiście przyznać Związkowi Radzieckiemu, ale i Niemcy hitlerowskie nie pozostawały tak bardzo w tyle. Negując przeszłość, starano się równocześnie odnaleźć w niej domniemanych antenatów, a więc zarówno ludzi, jak i epoki, pokrewne sobie ideowo. Jerzy Putrament, formułując „zadania literatury polskiej w okresie Planu 6-letniego i walki o pokój”, odwoływał się do obywatelskiej postawy literatury doby odrodzenia i oświecenia, zaliczając do epok „aspołecznych” barok oraz Młodą Polskę i oczywiście dwudziestolecie międzywojenne. W ten sposób tworzono *sui generis* ideologiczny przekładaniec, w którym epoki postępowe przeplatały się z reakcyjnymi. W Polsce zyskali na tym arianie i cienie ich głównych ideologów, od Marcina Czechowi-



ca po Samuela Przypkowskiego; musiały być nieraz zdumione rodzajem spraw, w których powoływano się na ich autorytety.

W ZSRR już w latach trzydziestych ubiegłego stulecia zaczął brać górę rosyjski nacjonalizm, co dało o sobie znać w postaci wspomnianej już „sprawy Szamila”. Czytelnik dziejów Łotwy dowiadywał się zaś ze zdumieniem, iż obiektywnym, acz nie w pełni uświadomionym, celem antyfeudalnej walki tamtejszych chłopów była chęć przyłączenia się do... Rosji. Z kolei rozdziały historii Ukrainy, poświęcone dziejom kultury, mówiły głównie o rosyjskich wpływach w tej dziedzinie, choć jeśli idzie o XVI czy XVII wiek, polskie oddziaływanie było o wiele silniejsze.

Do granic absurdu dochodzono w początkach dziejów najnowszych. W *Historii Polski 1864–1945. Materiały do nauczania w klasie XI* (Warszawa 1953) czytamy na przykład, iż wywiad niemiecki, pozostający w ścisłym kontakcie z dowództwem AK, obiecywał, iż przy wycofaniu się z Warszawy pozostawi do jego dyspozycji „magazyny (broni) i artylerię”, aby umożliwić wywołanie powstania o charakterze antyradzieckim. Kiedy się jednak Komenda AK zorientowała, iż zmienia ono swój charakter na antyhitlerowski, jej siły zbrojne „zdradziecko” skapitulowały przed katami Warszawy i poprowadziły swoje oddziały do hitlerowskiej niewoli, zamiast skorzystać z radzieckiej pomocy w przeprawie na prawy brzeg Wisły, aby w ten sposób połączyć się z Ludowym Wojskiem Polskim. Autorem tej części podręcznika była Maria Turlejska, informatorka MBP, której raporty nadsyłane do bezpieki pod pseudonimem „Ksenia”, ogłosiła już w III Rzeczypospolitej „Polityka”.

Naczelnym redaktorem omawianego zarysu z r. 1953 była Żanna Kormanowa, korzystająca ze współpracy m.in. Leona Grosfelda, który w r. 1956 został zdemaskowany jako plagiator. W ślad za *Krótkim kursem historii WKP (b)*, główną winę za przegraną z r. 1920 przypisywał on w tymże podręczniku zdradzieckiej postawie Trockiego i Tuchaczewskiego, którzy już wówczas mieli pozostawać na usługach obcych wywiadów. Z kolei Tadeusz Daniszewski, pisząc o wrześniu 1939 r., pominął milczeniem pakt Ribbentrop–Mołotow, stanowiący kolejny traktat rozbiorowy oraz wkroczenie Armii Czerwonej na terytorium Rzeczypospolitej. Za jej to sprawą, zdaniem M. Turlejskiej, „znikło bezrobocie, znikł ucisk narodowy”. Nic więc dziwnego, iż na zajętych przez Armię terenach wiele tysięcy Polaków szukało schronienia „przed okupacją hitlerowską”.

Manipulacja historią była niestety zjawiskiem znanym w niepodległej Polsce. Po r. 1926 znikają z programów szkolnych szermierze pracy organicznej, z Karolem Marcinkowskim na czele. Skreślono też wszelkie informacje o działalności takich towarzystw, jak Oświata Ludowa, Macierz Polska czy Sokół. Zaczyna dominować teza, iż do odzyskania niepodległości przyczyniły się głównie Legiony Piłsudskiego. Wincenty Witos, osadzony w r. 1939 w twierdzy brzeskiej, został poddany swoistej indoktrynacji. „Jako jedyną lekturę podawano nam w Brześciu małe broszurki pt. *Historia 156 pułków polskich*. Pisali ją przeważnie oficerowie Polacy, niektórzy nawet o znanych w Polsce nazwiskach. Przeglądałem je z ciekawością, bo nie jest rzeczą małą, czy napisano prawdę o tym, kto armii polskiej dawał początek. Czytając je zaś pilnie i kilkakrotnie byłem zdziwiony i zawstydzony moją niezajomością rzeczy, gdyż dopiero z tych broszur dowiedziałem się, że np. generał Józef Haller to właściwie do tworzenia armii polskiej prawie ręki nie przyłożył, a wszystko niemal bez wyjątku zrobił zasłużony, niestrudzony, genialny Komendant. Zrobił to wszędzie, a więc i na Murmaniu, we Francji, Włoszech, nie mówiąc oczywiście o Wiedniu, Berlinie, Magdeburgu”. W innym miejscu Witos pisze: „Szczególnie obecnie u nas prawie zupełnie zapomniano o ludziach, którzy się w jak największej mierze odznaczyli i przyczynili do odzyskania naszej niepodległości państwowej”. „Za szkodników państwowych uznano generałów: Sikorskiego, Hallera, Szczytyckiego i innych. Marszałek musiał likwidować skutki klęsk spowodowanych ich nieuctwem, lenistwem i lekkomyślnością”. Nie wspominało też nic o zasługach Ignacego Paderewskiego dla sprawy polskiej.

We wręcz znakomity sposób upowszechniał tezy sanacyjnej propagandy Tadeusz Michał Nittman (1896–1942), dziennikarz i literat, żołnierz Legionów oraz członek Polskiej Organizacji Wojskowej. W jego książce *Mały Piłsudczyk* (1936 i 1939) matka w rozmowie z synami daje zmanipulowany wykład najnowszych dziejów Polski, połączony z tym, co dziś nazwalibyśmy wychowaniem obywatelskim i wiedzą o strukturze ustrojowej państwa. Otóż u Nittmana daremnie szukalibyśmy wyżej wymienionych nazwisk, jak również najmniejszej choćby wzmianki o Romanie Dmowskim. Notabene ludzie urodzeni po r. 1945 nie zdają sobie sprawy z tego, iż gdyby sanacja nadal rządziła Polską, niemożliwy byłoby w Warszawie plac Hallera, aleja Sikorskiego, a tym bardziej rondo Dmowskiego. W wyobrażeniach średniej i młodszej generacji Polaków wszyscy wyżej wymienieni przechadzają



się w zaświatach po Elizejskich Polach narodowej zgody, ze swoim „przyjacielem” Piłsudskim pod ramię.

Już z przedmowy Nittmana, zatytułowanej *Drogi mały Piłsudczyku...*, młody czytelnik dowiadywał się, że to właśnie Marszałek stworzył nowe państwo „na karcie Europy, państwo mocarstwowe [...] dał mocny rząd i mocne wojsko”. Choć swoją opowieść Nittman zaczyna od czasów niewoli, to już omawiając powstanie styczniowe, dał dłuższy fragment z pism Piłsudskiego. Nittman wymienia wprawdzie dwóch prezydentów: Narutowicza i Wojciechowskiego, ale podkreśla, „iż zostali oni zarekomendowani na to stanowisko przez Marszałka”. Wspomina także o jego najbliższych współpracownikach: Mościckim, Sławku, Prystorze, Kwiatkowskim, lecz czyni to jedynie epizodycznie. W pozytywnym świetle został oczywiście przedstawiony zamach majowy, przy okazji wzmianki o wrogach Piłsudskiego przypomniano jego powiedzenie o „karle, zrodzonym na bagnach niewoli”, który stara się opluć w Polsce każdą cnotę i każdą wielkość.

Równie i z książki Nittmana wyziera wspólne całej sanacyjnej propagandzie przekonanie, iż Polska jest mocarstwem, któremu nikt już nie będzie w stanie odebrać niepodległości. Znajdujemy je także w wytycznych do programu radiowego na lato r. 1939, opublikowanych przez Elżbietę Kaszubę. Zalecają one świętowanie innych rocznic aniżeli te, które dotychczas były obchodzone. Czcili one bowiem „niewolę, wszelkiego rodzaju cierpiętnictwo”, tymczasem należy respektować rocznice zwycięstw (Kircholmu, Kłuszyna, zajęcia Moskwy przez Polaków), jak również Unii Lubelskiej oraz wydania przywileju „neminem captivabimus...”. „Tymi przykładami – pisał autor wytycznych (T. Unkiewicz) chcę wykazać, że należy wyrzec się zramolałej rutyny rocznicowej. Mamy rocznice radosne i nie związane z okresem upadku”. W tym duchu utrzymana była broszura Juliusza Łukasiewicza, naszego ambasadora w Paryżu, dowodząca na parę miesięcy przed klęską wrześniową, iż Polska jest mocarstwem. Towarzyszyło temu nawiązywanie do postaci Stefana Batorego, który – podobnie jak Piłsudski – miał być ucieleśnieniem „Polski mocarstwowej”, jak również do przywódców powstań narodowych, od Tadeusza Kościuszki poczynając.

Do omawianej przez Kaszubę propagandy towarzyszącej zajęciu Zaolzia, można dorzucić pominięte w jej książce o kulcie Piłsudskiego echa tego wydarzenia w literaturze pięknej i reportażu. Ociekające patosem – i wazeliną – strony poświęcił wkroczeniu na Zaolzie Mel-

chior Wańkowicz w II wydaniu *Sztafety* (Warszawa 1939, *Fanfara zaolziańska*). Z pośmiertnej spuścizny Poli Gojawiczyńskiej wydobyto ostatnio (2001) powieść *Święta rzeka*, zakończoną przyłączeniem Zaolzia do Polski. Jeden z bohaterów tej powieści, Kaifosz nigdy by nie pomyślał, iż „zbrojna Ojczyzna jego jest tak potężna [...]. jak powiedział w swojej mowie Wódz – Zbrojne ramię Rzeczypospolitej, które ogarnęło ich i przywróciło Ojczyźnie”.

Kolejna fala manipulacji historycznej miała miejsce po r. 1989 w III Rzeczypospolitej. Nie jest rzeczą przypadku, iż nie wznawia się pełnego tekstu żądań robotniczych z sierpnia 1980 r. Młodzi ich czytelnicy dowiedzieliby się bowiem, iż brak było w nich postulatów pełnej niepodległości czy wypowiedzenia sojuszów ze Związkiem Radzieckim (a tym samym wystąpienia z paktu warszawskiego). Uwaga autorów tych żądań była skupiona na budowie socjalizmu „z ludzką twarzą”, a więc poprawie doli robotników i swobodnej działalności wolnych związków zawodowych, które dzisiaj odgrywają tak nikłą rolę na arenie politycznej Kraju, a za przynależność do nich w niektórych prywatnych przedsiębiorstwach pracownicy bywają nawet zwalniani.

Coraz więcej przywódców Solidarności z okresu jej początków oraz z lat stanu wojennego, jest pomawiana o to, iż byli agentami komunistycznych służb bezpieczeństwa. Jest to teza stanowiąca przeniesienie na grunt polski zasadniczych założeń wspomnianego już *Krótkiego kursu historii WKP (b)*, w którym główni budowniczości rewolucji bolszewickiej zostali przedstawieni jako agenci obcych wywiadów. Stalin miał jednak tę przewagę nad autorami dziś tak masowo publikowanych oskarżeń i pomówień, iż posiadał potężny aparat bezpieczeństwa, który za pomocą różnego rodzaju tortur potrafił wymusić od Rykowa i Zinojewa, Tuchaczewskiego i Bucharina „przyznanie się do winy”, połączone ze skruczą. Jak na razie jest to niemożliwe w III (a może już IV) Rzeczypospolitej, gdyż wówczas mogłoby się okazać, że i odporność na tortury czołowych działaczy opozycji z końca ubiegłego stulecia posiada swoje granice.

Podobnie jak propaganda sanacyjna starała się wymazać z narodowej pamięci nazwiska konkurentów Józefa Piłsudskiego, tak i obecnie na przemilczenie zostają skazani działacze polskiej lewicy z okresu przed I wojną światową, jak również rewolucja 1905 r., w której brali udział. Skoro zaczęła się w Moskwie, jest czymś nie do strawienia dla szermierzy tezy, iż Polska zawdzięcza I i II niepodległość wyłącznie własnym zasługom. Tymczasem niemal wszystkie powstania narodowe

zadawały cios polskości: represje po listopadowym rozpoczęły jej likwidację na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, wybuch i klęska powstania styczniowego legły u fundamentów brutalnej rusyfikacji Królestwa Polskiego.

Natomiast rewolucja z r. 1905, która na naszych ziemiach była przede wszystkim powstaniem narodowym, przyniosła namacalne sukcesy w postaci szkolnictwa z polskim językiem wykładowym, towarzystw naukowych, czy pism o różnym charakterze, jak również znaczne zelżenie cenzury na tak zwanych ziemiach zabranych. A jednak obchodząc z wielkim rozgłosem reaktywowanie Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, powstanie Towarzystwa Miłośników Historii czy początki „Przeglądu Historycznego”, nie wspomina się nic o wydarzeniach rewolucji z r. 1905, której nie poświęcono żadnej poważniejszej sesji naukowej. Nasza historiografia, będąca dziś do pewnego stopnia nauką pomocniczą obchodów i jubileuszy, jak również wielką wypożyczalnią kostiumów historycznych, wstydliwie przemilcza wydarzenia z lat 1905–1907, mimo że brał w nich udział sam Józef Piłsudski. Jest to w pełni zrozumiałe, jeśli przypomnimy, iż tak zwana „polityka historyczna” stanowi w znacznym stopniu kolejną fazę manipulacji historią.

Nie chciałbym wszakże stwarzać wrażenia, iż manipulacja ta miała miejsce tylko u nas, bądź wyłącznie w stosunku do Polaków. Wystarczy przypomnieć, iż przez blisko pół wieku historycy francuscy nie interesowali się zbytnio kolaboracją spod znaku Vichy, mającą tak wielu biernych i czynnych zwolenników. Głównie w Anglii czy w USA ukazywały się wartościowe prace na ten temat. Mimo nader radykalnych przemian, jakie nastąpiły w dawnym Związku Radzieckim, życie codzienne pod okupacją hitlerowską po dawnemu stanowi tam temat tabu. Monografie doczekały się tylko, i to dzięki polskim historykom, miasta anektowane przez ZSRR – Lwów i Wilno. A przecież na podobne opracowania zasługiwałyby Kijów, Odessa czy Mińsk Litewski, zwłaszcza, że przebogate materiały z tych terenów zamieszczało systematycznie wydawane w Berlinie „Nowoje Słowo”, organ białej emigracji (Czesław Miłosz chwalił ów periodyk za bogactwo informacji).

Przed r. 1989 opowieści o życiu na okupowanych terenach sprowadzały się do dwóch wątków: masowych represji ze strony okupanta i ruchu partyzanckiego. Dopiero ostatnio dowiedzieliśmy się z publikacji rosyjskich, że na terenach tych ukazywała się w wielkich nakła-

dach prasa kolaborancka – wydawany w Smoleńsku „Nowyj Put” osiągał 150 tys. egzemplarzy, „Ukrainskij Chliborob” – 250 tys. Liczne tego przykłady przytacza Bogdan N. Kowalow (*Nazistowska okupacja i kolaboracjonizm w Rosji, 1941–1944*, Moskwa 2004).

Na zakończenie wypadnie wszakże wyrazić nadzieję, że przynajmniej polska historiografia wybiję się wreszcie „na normalność”. A mianowicie przestanie być *sui generis* podręcznikiem medycyny (wielu autorów stale się zastanawia, od kiedy to właściwie zaczęła toczyć Rzeczypospolitą choroba „nieuchronnych” [?] rozbiorów), a stanie się natomiast zwykłym podręcznikiem narodowych dziejów, wolnym od nacisków wszelkiej cenzury, w tym także patriotycznej. Także i malarstwo historyczne starano się jej poddać. Dziś mało kto wie o oburzeniu, jakie wywołał *Rejtan* Matejki, o którym Józef I. Kraszewski napisał: „Piękny obraz, ale zły uczynek. Policzkować trupa matki się nie godzi”. Kształtujący się w tych warunkach stosunek do przeszłości czynił z narodowej historii weksel, którego splotem miała stanowić pomoc Zachodu w odzyskaniu niepodległości. Stanowiła usprawiedliwienie zacofania na wielu polach, czy wreszcie rejestr zasług, dzięki którym Polacy mogą się poczuć pełnoprawnymi obywatelami Europy.

Musimy jednak uczynić wszystko, aby się nie sprawdziła ponura wizja Czesława Miłosza, który w wierszu *Dziecię Europy* pisał:

Kto mówi o historii, jest zawsze bezpieczny.  
Przeciwko niemu świadczyć nie wstana umarli.  
Jakie zapragniesz możesz przypisać im czyny,  
Ich odpowiedzią zawsze będzie milczenie.  
Z głębi nocy wynurza się ich pusta twarz.  
Nadasz jej takie rysy jakich ci trzeba.  
Dumny z władzy nad ludźmi dawno minionymi  
Zmieniaj przeszłość na własne, lepsze podobieństwo.

Na zakończenie pragnę przypomnieć, iż polska nauka (zwłaszcza humanistyka) wcześniej odzyskała suwerenność aniżeli państwo, w którym się rozwijała. Obecnie natomiast rozpoczyna się druga bitwa, również o suwerenność, ale samej nauki, od humanistyki poczynając, a na biologii kończąc (sprawa kreacjonizmu!). Na spotkaniach z nauczycielami ci ostatni zapytują, co mają począć wobec narzucania im przez ministerstwo programów historii, stanowiących niekiedy zaprzeczenie naukowej i zgodnej ze źródłami wizji dziejów. Aby mogli



skutecznie oprzeć się wszystkim, mówiąc najdelikatniej – niemądrym naciskom, potrzebna im jest nasza pomoc. Wśród obrońców IPN (Instytutu Prawdy Naukowej) nie powinno przeto zabraknąć i Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, które od dwustu lat tak dzielnie służy narodowej sprawie.